



PISMO TYGODNIOWE.

Numer pojedynczy. . Mk. **2.50**
Kwartalnie z przesyłką Mk. 25.—
Za gran. kwart. z przes. Mk. 40.—
Wiersz inseratowy. . Mk. 4.—
Zmiana adresu 1 mk.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:
Warszawa, Al. Jerozol. 21, m. 18.
Telefon 78-86.

Konto czekowe: 532.

Rękopisów nie zwraca się.

Walka o pokój.

Opinia polskiej klasy pracującej wzburzoną była dość silnie sprawą możliwości **wstąpienia socjalistów polskich do rządu**. Rewolucyjne stronnictwo, partja dążąca do zmiany całego ustroju kapitalistycznego na socjalistyczny, miała wejść do rządu, w którym zasiadać mieli również przedstawiciele prywatnej własności — chłopi... Radykalizm pewnych sfer partyjnych podniósł alarm. Rada Naczelna P. P. S. rozważyła położenie na podstawie kongresu partyjnego i orzekła, że w pewnych określonych warunkach zostawia decyzję co do wstąpienia do rządu Komitetowi Wykonawczemu i klubowi poselskiemu. Warunków było kilka. Chodziło o demokratyczną **konstytucję**, o zabezpieczenie klasie robotniczej **żywności** i wreszcie o **wywalczenie pokoju**. Z biegiem narad wstępnych zaczynało się utrwalać w kołach P. P. S. przekonanie, że właściwie głównym warunkiem jest — **walka o pokój!**

Pokój stał się ogniskującym wszystkim hasłem.

Na pierwszy rzut oka hasło to zdaje się łatwym do zrealizowania i bliskim tego celu. Ale głębsza rozważa dopro-

wdza do uznania walki o pokój za trudną, choć konieczną, a sam pokój w konkretnych swoich kształtach przedstawia się jako sprawa wymagająca pracy i walki długotrwałej.

Wystarczy wskazać na główne czynniki dążeń pokojowych. Więc najpierw sama Polska. Potężny trud Piłsudskiego stworzył armję prawie niemal z niczego. Ale do dnia dzisiejszego naród polski nie wykazał ani entuzjazmu, ani zbytnej ofiarności armji i w prowadzeniu wojny. W porównaniu do Francji, Niemiec, a nawet „niepatriotycznej“ Rosji bolszewickiej, Polacy w masie znosili wszystkie straszliwe ciężary wojny raczej biernie. Austrija, Rosja i Prusy wydobywały z rezerwoaru sił polskich ogromne środki w ludziach i rzeczach. Przez cztery lata wojna niszczyła Polskę **na cudzy rozkaz**. Polacy służyli, bili się, płacili, dawali obrabowywać, rujnować.

Kiedy powstała Polska, ciężar wojny zmniejszył się znacznie. W b. Galicji mobilizowała Austrija mężczyzn do 50 roku życia, a więc 30 roczników. Polska zmobilizowała 6 roczników. Sama b. Galicja dawała Austrii armję większą niż później cała Polska.

O ile chodzi o moralny nastrój, można powiedzieć, że Polska z bardziej zmniejszoną energją weszła w fazę wojny jako niepodległe państwo, niż dawniej jako części obcych, wrogich państw. Wystarczy wskazać na zachowanie się burżuazji i inteligencji. Ta zapełniała przed r. 1919 szeregi sióstr miłosierdzia i różnych wojskowych organizacji pomocniczych. W niepodległej Polsce brakło nieraz zastępów ochotniczych w służbie szpitalnej... Subkrybcja pożyczek wojennych w Polsce stawała się wyraźnym dowodem, że ciężary wojny już w niepodległej Polsce brano na barki bardzo niechętnie.

Wyczerpanie było zbyt wielkie w porównaniu do słabych dążeń państwowotwórczych narodu. Z ofiary patriotycznej robiono hecę partyjną; narodowo demokratyczna stolica używała podnieć patriotycznych dla jawnego lżenia Piłsudskiego; olbrzymia agiacja dla obrony Lwowa dała 300 ochotników!...

Później **paskarstwo** zatopiło każde drgnienie ofiarności dla utworzenia państwa. Paskarstwo na wsi i w mieście. Ohydne groszoróbstwo, brudna lichwa, nędzne „panikarstwo“, wybiły się na wierzch życia; u spodu grzęzła masa ludzka w trosce o wyżywienia siebie i dzień z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień.

Wojna szła osobnym torem od życia masy. Jedni szaleją, drudzy biedują, a gdzieś tam na dalszych okrainach bije się i krew leje armja polska. Piłsudski stał się bohaterem narodowym, co nie przeszkadza wcale, że pierwszy lepszy drab w wagonie kolejowym, czy w restauracji eleganckiej obsypać może obelgami jego imię i kalać jego pobudki, że całe stron-

nictwa narodowe intrygują przeciw niemu jawnie, głośno, za-
jadle.

Polska z trudem prowadzi wojnę, ale z takim samym nie-
stety trudem nauczy się walczyć o pokój, o **korzystny pokój**.
Jest to druga strona tego samego zjawiska: **słabego poczucia**
państwowości czyli popularnie mówiąc: **słabego patriotyzmu**.

Drugim czynnikiem wojennym jest **Rosja bolszewicka**.
Jej polityka wojenna nie ulega dziś dla nikogo wątpliwości.
Równocześnie z notami „pokojuwemi“ Cziczeryna dokonywała
Rosja sowiecka **mobilizacji** na największą skalę. W styczniu
jeszcze zaczynało tam wielką mobilizację, której rezultaty obja-
wiły się w ofensywie marcowej a potem majowej. W tym sa-
mym czasie zaklinał, błagał, złorzeczył Cziczeryn w „pokojuwych“
swoich iskrówkach, adresowanych do całego świata. Dzisiaj
gromadzi Rosja bolszewicka na „polskim froncie“ pokaźną si-
łę wojenną i nie zechce tak łatwo zacząć rokowań pokojowych
przed spróbowaniem szczęścia wojennego...

Wreszcie **Koalicja**. Ta rozumie pokój na Wschodzie po
swojemu. „Jesteśmy narodem kupców“ — mówi **Loyd George**
w Izbie Gmin — „i nie mamy uprzedzeń do nikogo“... A fran-
cuski rentjer — rdzeń narodu francuskiego — marzy o tem,
kiedy otrzyma z powrotem pieniądze, pożyczone kiedyś za ra-
dą swego rządu — Rosji...

Koalicja oczekuje chwili, w której ona podyktuje pokój
na Wschodzie, wyznaczy granice, wymierzy stopień wolności
narodów między Wisłą a Uralem...

O pokój dobry, pokój rozumny, pokój trwały, trzeba wal-
czyć w domu, w Rosji i wśród państw Koalicji.

Socjaliści polscy są główną siłą, zdolną do takiej walki.

Oni to wzięli u wstępu wojny światowej na siebie ciężar
i odpowiedzialność wojny o **niepodległość**. Oni się do niej
czynem przyznali wobec świata całego. Oni prawo niepodle-
głości narodów na terytorjum caratu rosyjskiego proklamowali.
Oni nie skalali się orgjami paskarstwa. Oni przed Polską,
Rosją i Europą Zachodnią mają prawo do głośnego, szczerego
protestu przeciw zaborom i aneksjom cudzych krajów. Oni
o pokój wołają od chwili, kiedy wojna obronna dochodzić po-
częła do swego okresu końcowego.

Socjaliści polscy mają dzisiaj obowiązek walki o pokój.

I tylko dla spełnienia tego obowiązku wolno by im było
używać nawet takiego środka, jak wstąpienie do rządu. W in-
nych narodach socjaliści wstępywali do rządu dla **prowadzenia**
wojny; w Polsce mogli to zrobić **dla wywalczenia pokoju**. Dla-
tego to Rada Naczelna P. P. S. mogła uchwalić 27 głosami

przeciw 6 w zasadzie zgoda na wstąpienie socjalistów do rządu niesocjalistycznego.

Banalność dzienników burżuazyjnych zrobiła z tego chęć opanowania — portfeli ministerjalnych, a przedstawiciel chwilowego rządu zaproponował socjalistom aż dwie teki: robót publicznych i sprawiedliwości...

Walka o pokój toczy się — zdaniem żołnierzy — tylko bagnetem i kulomiotem. Leży w tem jednostronność zawodu żołnierza. Jednostronność potrzebna i konieczna dla prowadzenia walki orężnej. Ale naród żywy, naród silny i naród patriotyczny ma **więcej** sposobów walki o pokój: Nie myślimy ich tutaj wyliczać. Nie jesteśmy „defetystami“ nie chcemy pokoju — klęski, pokoju z szkodą dla praw swojego narodu. Ale czujemy i jesteśmy przekonani, że **obok żołnierza powinien stanąć obywatel do pracy i walki ofiarnej o pokój**. Że właśnie ta faza wojny powinna zmobilizować obywateli do pracy dla pokoju.

Pokoju Polska potrzebuje. Ale trzeba ją do pracy o pokój niemal tak samo zmuszać, jak do każdej innej pracy państwotwórczej. Inaczej zrobią pokój inni z mniejszym udziałem Polski, niż dla utrwalenia jej prawa i jej niepodległości jest rzeczą niezbędną.

Walka o programy spółdzielcze.

I.

Turniejem politycznym nazwano ostatni Zjazd Robotniczych Stowarzyszeń Spożywców (8 — 10 maja) — i nie trzeba szukać dosadniejszego określenia, by scharakteryzować przebieg obrad tego zjazdu. Wystąpiły na arenę dwie grupy polityczne, nibyto w obronie programów spółdzielczych, w istocie jednak w obronie stanowisk partyjnych. Miały być wytyczone zasady dla naszego ruchu spółdzielczego, bo to, co dotąd było, nosiło charakter prowizoryczny, nie miało sankcji mas — ale niewiele zaprzętało sobie tem głowę na Zjeździe.

W istocie jednak już na pierwszym Zjeździe organizacyjnym Związku Robotniczych Stowarzyszeń Spółdzielczych, sformułowano zasady robotniczego ruchu spółdzielczego, który miał stanowić odrębną samodzielną, ale spótrzedną formę z resztą ruchu robotniczego. Przedstawiciele różnych przekonań po-

litycznych, widząc, że dotychczasowe kramiki partyjne nie wiele mają spólnego ze spółdzielczością godzą się na wytknięcie nowych dróg dla dalszego rozwoju stowarzyszeń spółdzielczych. I na Zjeździe robotniczych Stowarzyszeń spółdzielczych w maju roku zeszłego przyjęta została następująca rezolucja: „Zjazd stwierdza, że tylko zjednoczony robotniczy ruch spółdzielczy może w obecnych warunkach skutecznie stawić czoło naporowi instytucji kapitalistycznych. Robotnicze organizacje spóżywców, tworząc tylko część ogólnoproletarjackiego ruchu wyzwolenczego, winny współdziałać z ogólną walką klasy robotniczej, i zachowując zupełną samodzielność gospodarczą i organizacyjną, wystąpienie zewnętrzne uzgadniać z wystąpieniami R. D. R.“

Przez jeden rok Z. R. S. S. działał w myśl tych zasad, wcielając w życie nowy program spółdzielczy i jednocząc partyjnie rozbity ruch spółdzielczy. Jednocześnie podkreślano jednak, że kooperatywy nie rozwiążą kwestji społecznej, że konieczną jest spółpraca ruchu zawodowego i politycznego i że bez rewolucji nie przebuduje się ustroju społecznego.

Ale dla grupy politycznej ze skrajnej lewicy (komuniści) okazało się to stanowisko niewygodnym, bo nie można je było wyzyskać jako terenu agitacyjnego i nie można było narzucić kooperatywom dyscypliny partyjnej. I tuż przed Zjazdem stowarzyszeń robotniczych rzucono się z lewicy do wytężonej pracy, by unicestwić „apolityczny“ program spółdzielczy i skompromitować dotychczasową działalność spółdzielczą Z. R. S. S.

W duchu dotychczasowego kierunku i wytycznych pracy spółdzielczej Z. R. S. S. przedstawił J. Hempel wyraźne sformułowany i określony program na przyszłość. We wstępie tego programu scharakteryzowane są przyczyny i objawy bezwyjściowości naszego ustroju społecznego. „Punktem zwrotnym... musi być ujęcie całej władzy przez proletarjat“ lecz odbywać się to będzie „spotrzednie, jednocześnie z silnym rozwojem szczególnie robotniczych klasowych instytucji gospodarczych“. Rodzą się one równocześnie z pojawieniem się proletariatu, lecz z dzisiejszych instytucji obronnych przekształcić się muszą przy pomocy przewrotu politycznego w nowe formy gospodarcze, posiadając cały szereg znamion zasadniczych wyróżniających je od instytucji kapitalistycznych. Lecz spełnią swe zadanie dopiero tylko przez zerwanie z utopijną kooperacją mieszczańską, z zasadą apolityczności, a tembardziej z zasadą neutralności klasowej“, uznając się tylko „za część ruchu robotniczego, zmierzającego do zaprowadzenia socjalizmu i stojąc w jednym szeregu ze związkami zawodowymi i rewolucyjnymi partjami politycznymi“. Zaś ich najbliższe zadanie to

zorganizowanie całego proletariatu w stowarzyszeniach, wywalczenie sobie u rządu i w samorządach kredytu i rozdziału kontyngensu, opierając się w tej kwestji o związki zawodowe i łącząc się z niemi w stałych organizacjach. Solidaryzując się z ruchem rewolucyjnym proletariatu międzynarodowego, muszą prowadzić intensywną pracę społeczno-wychowawczą, aby przygotować kadry przyszlých działaczy robotniczych jak i same masy do wprowadzenia i utrzymania robotniczego ustroju socjalistycznego.

To są te dzisiejsze, obowiązujące od Zjazdu, zasady spółdzielczości robotniczej. W całości i w szczegółach obmyślane są gruntownie i przedstawiają sobą ładny twór myślowy, konsekwentnie i logicznie wypływają z założeń i tworzą wytyczne dla twórczej i świadomej swego znaczenia dziejowego pracy. W niektórych miejscach dają może sposobność do różnych tłumaczeń i komentarzy, nie określając dokładniej w jaki sposób zrywają z apolitycznością, lub którą partję należy uważać za rewolucyjną, czy jak należy rozumieć stawianie kooperatyw w jednym szeregu z partjami rewolucyjnymi. Ale niesłuchano ani jednego słowa rzeczowego rozstrząsania czy choćby nawet krytyki nie usłyszano na Zjeździe po przedstawieniu tego programu na porządek dzienny. Przedstawiciele kierunku umiarkowanego (t. j. P. P. S.) przychylni się do tego programu ryczałtowo, zaznaczając tylko, że godzą się w całości na te zasady, bo jeśli ten program wejdzie w życie, to będzie zwycięstwem i ich partji. Skrajna lewica (komuniści) zdołała temu programowi zarzucić tylko ogólnikowość i nierzeczowość — ale miała sposobność do wygłoszenia wielkich mów wiecowych, by po nich — zamiast rezolucji politycznej — przedstawić program spółdzielczy. W prost nie do zrozumienia była ta ciasnota i ograniczenie umysłowe zabierających głos politykomanów. Wobec nowej dziedziny zagadnień niemieli innych kryterjów, nawet innych słów, prócz tych, które są potrzebne w agitacjach wiecowych czy przy wyborach. Nie rozważano tu kierunków i wytycznych spółdzielczości, nie zastanowiono się ani na chwilę nad jakąś kwestją rzeczową, nie była to walka o program spółdzielczy, lecz o hasło polityczne, o dogmaty partyjne. Było kilkanaście wystąpień, ale prawie wyłącznie wszystkie z ramienia partji i w obronie partyjnych haseł. „Sprawa kooperacji została podeptana“ — to były końcowe, ale boleśnie wypowiedziane słowa J. Hempla, kiedy zamykał dyskusję nad swoim programem.

Jakże wygląda ten „rewolucyjny“ program spółdzielczy, przygotowany przez komunistów, by go przeciwstawić owemu „oportunistycznemu“, „drobnomieszczańskiemu“, jaki został

przyjęty na Zjeździe? Zanim przejdziemy jednak do samego programu, warto przypomnieć sobie dwie broszurki, wydane już przed Zjazdem przez komunistów w celach agitacyjnych, bo to nam nadzwyczaj ułatwi zrozumienie i ocenienie przedstawionego na Zjeździe programu:

Pierwsza z nich: „Zadanie kooperacji robotniczej“ nosi na sobie cechy pewnej dwoistości, jakby miała dwóch autorów, z których każdy jakby się wstydził za nią, (bo jest bez autora wydana). Pierwsza część ogólna zajmuje się analizowaniem dzisiejszego kryzysu gospodarczego i określenia roli kooperatyw w dzisiejszym ustroju. Ideę naczelną określono na początku: „Wszelkie dzielenie ruchu robotniczego w chwili obecnej na niezależne od siebie wzajemnie i maszerujące z osobna organizacje polityczne, zawodowe i gospodarcze — musi prowadzić do wzmocnienia reakcji a osłabienia walki klasowej. (str. 3.)

Co do kooperatyw brzmi ten postulat następująco: „Przy pomocy analizy kryzysu gospodarczego przeżywanego przez kapitalizm światowy, przez krytykę kooperatywu drobnomieszczańsko - utopiijnego wogóle, a na naszym gruncie w szczególności staraliśmy się wykazać całą szkodliwość akcji socjalizmu ugodowego i apolitycznego kooperatywu dla ruchu robotniczego” (Str. 4). Potem następuje uzasadnienie z biblii komunistycznej, że kryzys gospodarczy jest wszechuropejski, że walka ekonomiczna proletariatu nie tylko nie zaspokoї żądań i potrzeb robotniczych, ale staje się „hamulcem potrzeb”. I cóż robić? „Jedynym sposobem uratowania świata od głodu i nędzy jest odebranie przez klasę robotniczą środków produkcji kapitałowi i zorganizowanie produkcji na zasadach socjalistycznych“ (Str. 11). Wywody te są napozór bardzo ujmujące i jasne, lecz mimo wszelkiego krytycyzmu, noszą piętno dogmatyzmu i mają tą słabą stronę, że upraszczają w nadzwyczajny sposób zbyt zawile i skomplikowane zjawiska.

Kryzys gospodarczy jest wszędzie, ale niema jednolitego rozwiązania go i wyzwolenia się z niego, bo układ sił społecznych i warunki ekonomiczne w każdym kraju są odmienne. Do tego socjalizm potrzebuje dla wprowadzenia go w życie pewnego przygotowania pokojowego w formie uświadomienia proletariatu, wyrobienia zastępu przysłych organizatorów i administratorów, w formie pewnych zaczątkowych nowych form ustrojowych, pewnego poziomu rozwoju gospodarczego i w formie pewnego układu sił społecznych, warunkującego zwycięstwa rewolucji. Lecz o tych wszystkich przesłankach i zagadnieniach zapomina się w uproszczonej ideologii komunisty-

cznej i nigdy nie usługuje się sprawdzić tej ideologii na konkretnych wypadkach w życiu.

Podobnie ma się sprawa z poglądem na kooperację — poglądem uproszczonym już ad absurdum. Z rozkładem gospodarki kapitalistycznej zachwiał się i byt kooperatywy robotniczych: kooperatywy robotnicze muszą szukać pomocy państwa i kapitału, jeśli chcą nadal istnieć w ramach obecnego ustroju. A jeśli tak, to kooperatywy robotnicze staną się poprostu drobnym przydatkiem gospodarki kapitalistycznej, co dopomoże do uzależnienia się jeszcze ściślejszego masy spółdzielców robotniczych od kapitalistów“ (Str. 14). A w następnym zdaniu powiada się, że kooperatywy mają dwie drogi przed sobą albo „wegetację i powolny zanik w istniejącym ustroju lub też czynny udział w budowie ustroju socjalistycznego, wspólnie ze wszystkimi organizacjami proletariatu“ (Str. 14). Więc kooperatywy szukając pomocy w państwie, by utrzymać swe placówki, stają się „przydatkiem gospodarki kapitalistycznej“ — a równocześnie mogą brać czynny udział w budowie ustroju socjalistycznego! Ma się wrażenie, że w rozumowaniach komunistycznych nie uznaje się prawideł logicznego myślenia.

Jednak jak należy rozumieć ten „udział w budowie ustroju socjalistycznego“, wykazuje nam jasno i niezbicie druga broszurka w formie ulotnej: „Zadania kooperatyw w chwili obecnej“. Przyznaje się tutaj, że kooperatywy mogą zrzeszonym robotnikom dawać już dzisiaj pewne „ulgi ekonomiczne“, ale „ich rozwój gospodarczy nie może się dalej posuwać i ta część działalności kooperatyw staje się coraz bardziej drugorzędna z punktu widzenia ogólnych interesów proletariatu“. Jedyne ich zadanie, to stanąć pod hasłem Rewolucji Socjalnej i Dyktatury Proletariatu i podporządkować się K. P. R. P., jako jedynej partii rewolucyjnej.

Cóż to znaczy? Ni mniej, ni więcej, jak wykreślenie kooperatyw z proletariackich instytucji gospodarczych a stworzenie z nich ośrodka partyjnego. Z jednej strony przekreśla się nadzwyczajny rozrost kooperatyw robotniczych u nas i zagranicą, zamyka się oczy na to, jak poważnym czynnikiem stają się już w dzisiejszym ustroju przy aprowidowaniu mas robotniczych, jaką rolę odgrywają w walce z gospodarką zysku kapitalistycznego i w walce z dzisiejszym ustrojem; z drugiej strony nie widzi i nie uznaje się w kooperatywach owych zarodków nowych form gospodarczych, nie rozumie się ich roli i pracy społeczno-wychowawczej, która kształci nowych ludzi moralnie i technicznie, przygotowując „kadry działaczy robotni-

czych", „zdolnych prowadzić organy rozdzielcze w przyszłej organizacji społecznej” — jak tego żąda ten rewolucyjny program spółdzielczy komunistów. To wszystko dla tej grupy politycznej nie istnieje, bo nie robi się tego, pod jej egidą partyjną, pod jej „hasłami“.

Dlatego też ostatnia część broszury „Zadania kooperacji robotniczej“ poświęcona jest „krytyce” i polemice z „oportunistycznym prądem“ w ruchu spółdzielczym, który usymbolizowano niemiłosiernie przekręconem hasłem „Tworząc — burzimy“ (zamiast polskiego „burzimy — tworząc“), a którego prowodyrami ma być Hempel et Comp z Wydziału Społeczno-Wychow. Z. R. S. S. Przedewszystkiem zaznaczyć trzeba, że cała ta polemika prowadzona jest z twórcami własnej fantazji. Bo poglądy, jakie tam się podsuwa „drobnomieszczańskiemu kierunkowi spółdzielczemu“, nigdzie i przez nikogo nie były głoszone. Cytaty świadczą o ciasnocie umysłowej czy złej woli autora, a cała ta apolityczna teoria spółdzielcza, której twórcą ma być Hempel, jest wymysłem tegoż autora komunistycznego. Walczy się w tej broszurze tylko ze swymi przynajmniej, fantasmogorjami — szkoda tylko papieru i zmarnowanej energii!

Stwierdza ten niepodpisany autor, że hasła i metody tych apolitycznych kooperatystów należą do „gatunku przeżytych, wypłowiałych złudzeń drobnomieszczańskich“, że wedle ich poglądu kooperatywy same zniszczą kapitalizm i że kapitalizm umrze śmiercią naturalną, że dla tego ruch polityczny jest dla tych kooperatystów tylko dodatkiem, czemś ubocznem, a wystarczy tylko zorganizować w kooperatywy spożywców masy robotnicze, uregulować sprawę rozdziału towarów przez kooperatywy, a „bitwa z kapitalizmem zostanie zwyczajsko rozpoczęta“. Jeszcze dalej stwierdza się, że hoduje się w tych kooperatywach biurokracja i sklepikarstwo; a szczytem zaprzaństwa socjalistycznego, to twierdzenie „hemplowskie“, że między rewolucją a ewolucją niema właściwie zasadniczych różnic. (Str. 16 i 17).

Oczywiście o sumieniu autorskiem, o uczciwości pisarskiej nie może być mowy u tego autora. Jego bronią to przekręcanie, kłamstwo i oszczerstwo, szlachetniejszych środków walki on nie uznaje. Zaś wszystkie jego „stwierdzenia“ wyrwane są z próżni. Jeśli przejrzeć łamy „Spółdzielcy“ jako organu tego „apolitycznego“ kierunku, to wszędzie znajdziemy wręcz przeciwnie twierdzenia. Zupełnie wyraźnie mówił się o rewolucji, rozważa się realnie w perspektywie rzeczywistości i z tą rozważką i trzeźwością, jaka nam przystoi w przededniu rewolucji. W artykule wstępnym: „Bez wyjścia“ (Nr. 28) rzuca się też ha-

sło rewolucyjne: znieść własność prywatną. Czyż tu mówi się, że kooperatywy są tym wyjściem z dzisiejszego kryzysu? Nie, obalenie podstaw naszego ustroju — fo wyjście. „Robotnicze stowarzyszenia spożywców będą niewątpliwie jednym z filarów ładu nowego, ładu robotniczego“, staną się częścią tego życia młodego“ — Gdzież tu mowa o tem, że kapitalizm umrze śmiercią naturalną? A może wyrzeka się „Spółdzielca“ polityki? — „Byłoby absurdem odgradzać się od życia politycznego, ale będzie gorszym złem jeżeli młody nasz ruch zostanie opanowany przez tę czy inną partję polityczną, pod której hegemonją przestanie się rozwijać, gdyż musi się z konieczności poeporządkować celom partyjnym“ („Polityka a ruch spółdzielczy“ Nr. 24). Takie jest stanowisko „Spółdzielcy“.

Gdzie się hoduje sklepikarstwo, czy w kooperatywach bezpartyjnych, czy partyjnych, jakie chcą mieć komuniści, to wie każdy kto ma z ruchem spółdzielczym do czynienia.

Sirius.

Listy z Anglii.

Z robotniczego ruchu w Anglii zanotować należy dwa ważne fakty:

1) Zdecydowane odseparowanie się od trzeciej międzynarodówki. Skrajne skrzydło Partji Pracy t. zw. Independent Labour Party na wielkanocnym Kongresie w Glasgow odrzuciła wniosek przystąpienia do trzeciej Międzynarodówki Lenina. Wobec tego dla bolszewickiej akcji w Anglii gruntu prawie nema, jeżeli nie brać pod uwagę pomniejszych grup i grupek radykalnych, nie mających wpływów. Oczywiście na stanowisku antybolszewickim stoi sama Labour Party. Trade-Union Congress na swej ostatniej Konferencji zajął stanowisko jeszcze bardziej umiarkowane, wypowiedział się bowiem przeciwko t. zw. „action directe“, czyli stanął na stanowisku ewolucji raczej niż rewolucji. Nie znaczy to jednak, żeby ruch zawodowy ograniczał się wyłącznie do walki o godziny pracy i wyższe płace. Przeciwnie tendencja jest coraz wyraźniejsza ogarnięcia szerszych zagadnień ekonomicznych i politycznych. Wyraża się to w walce o nacjonalizację kopalń, prowadzoną od roku systematycznie i bez przerwy drogą strajków i kolosalnej propagandy prasowej. Sekretarz związku zawodowego górników Frank Hodgens, jeden z najwybitniejszych leaderów robotniczych z młodszej generacji wydał klasyczną książkę o Nacjonalizacji Kopalń.

Łącznie z tem sprawa „Kontroli przemysłu“, jak tu mówią, czyli udziału w zarządzie przedsiębiorstw przemysłowych jest badana stale i forsowana na wiecach i w prasie. Cała działalność jest niezmiernie powolna, ale nie ulega żadnym wahaniom i z nieugiętym uporem zmierza do celu. W konkluzji — ruch zawodowy w Anglii zdecydowanie odrzucił metody stosowane w Rosji, lecz chce stopniowo i systematycznie przeprowadzić reformę gospodarczą i polityczną.

Działalność polityczną związki zawodowe zaznaczyły w sprawie Rosji, a ostatnio w sprawie Irlandji.

Domaganie się zaniechania interwencji w Rosji było przede wszystkim chęcią wywarcia presji na rząd, mniej zaś chodziło o samą Rosję. Wszelka propaganda za Rosją jest w masach angielskich bardzo popularna, ale nikt tu nie identyfikuje tego z chęcią stosowania tychże metod. Następnie lekka presja na rząd przez dwóch posłów członków Partji Pracy wystarczyła, by więźniów irlandzkich, którzy urządzali głodówkę, wypuszczono mimo kategorycznej początkowo odmowy ze strony Rządu.

2) Siła związków zawodowych, wobec zorganizowania w znakomity sposób 8 milionów robotników, jest olbrzymia i nie była dotąd nigdy użyta w całej rozciągłości. Rezultaty strajków są przeważnie pomyślne dla robotników, ale każdy wielki strajk przyczynia się do organizowania się klasy średniej i urabia wskutek potężnych wpływów prasy opinię publiczną przeciwko strajkom. Stąd wynika potrzeba lepszej organizacji strajkowej. W tej chwili jest **tendencja połączenia kooperatyw ze związkami zawodowymi**. Jeżeli to zostanie osiągnięte, organizacja zyska ogromny zastęp ludzi, funduszy i żywności. Jest to koniecznem, gdyż okazało się w ostatnim strajku kolejarzy, że fundusze na propagandę muszą być znacznie większe, nadto, że strajkującym grozi wygłodzenie, ponieważ mogą być pozbawieni środków żywności. Mali sklepikarze, piekarze, rzeźnicy i t. p. odmawiali kolejarzom strajkującym żywności. To samo miało miejsce i we Francji. Posiadanie kooperatyw zapobiega tej ewentualności.

Równocześnie konieczność akcji prasowej na wielką skalę, potrzeba rozwiązywania złożonych zagadnień teoretycznych w rodzaju nacjonalizacji, kontroli przemysłu i t. p. sprawia, że **związki starają się pozyskać inteligencję**.

Nauczyciele i inne zawody t. zw. „czarno ubranych robotników“ (black coated workers) **przyłączają się do ruchu robotniczego**. Londyn, w czerwcu.

Organizacja pomocy lekarskiej.

II

W Rosji do podniesienia bardzo przed tem niskiego poziomu medycyny wojennej przyczyniły się za naszych czasów instytucje społeczne (czerwony krzyż, związek miast i ziemstw), a medycyna państwowa musiała za nimi podążać dla złagodzenia i kompromitującej ją różnicy poziomów.

Pozatem obserwowaliśmy w państwie rosyjskiem medycynę państwową „włościańską“ na tak zwanych kresach, medycynę czysto biurokratyczną, bardzo niskiego typu, a na olbrzymich obszarach Rosji właściwej w ciągu lat kilkudziesięciu działała pomoc lekarska samorządowa (ziemska).

W kraju tak mało kulturalnym spełniła ona w swoim czasie doniosłe zadanie popularyzacji medycyny wśród warstw szerokich na koszt fatalizmu i znachorstwa, ale po spełnieniu tego zadania ulegała coraz większej biurokratyzacji, coraz mniej zadawała, jak lekarzy, tak kulturalniejsze warstwy ludności i legła w gruzach wraz z całą machiną państwową.

Była ona oparta mniej więcej na tych zasadach, jakie proponuje p. Z. Kramsztyk, na ryczałtowych, stałych pensjach lekarzy i nieograniczonem prawie całej ludności do bezpłatnego korzystania z ich ulg, była medycyną samorządową, mniej scentralizowaną, bliższą życia, była w zasadzie czemś lepszem od tego, co proponuje Autor, a jednak dawała wyniki coraz mniej zadawalniające, stawała się przeżytkiem i, jako taka była traktowana przez najważniejszych naszych lekarzy społeczników, z Biegańskim na czele.

Czyż, wracając do tego przeżytku, możemy gołosłownie pocieszać się tem, że to była robota lekarzy urzędników Rosjan, którą u nas lekarze urzędnicy Polacy będą wykonywali zupełnie inaczej pod kierunkiem własnego Ministerjum Zdrowia?

Czyż poziom naszych urzędów jest obecnie tak wyraźnie wyższy od urzędów rosyjskich? Czyż Ministerjum Zdrowia, rozrastając się zbyt szybko do rozmiarów wielkiego drzewa o licznych, przeważnie papierowych konarach, nie przyniosło sobie i społeczeństwu nie mniej licznych nieprodukcyjnych strat materialnych i rozczarowań, co doprowadziło do amputacji niektórych z tych konarów i poważnego zakwestjonowania celowości istnienia samego ministerjum?

Wiemy w jak niezadowolający sposób wywiązuje się nasze młode państwo z zadań o wiele prostszych od lecznictwa, jak zaopatrywanie w węgiel i produkty spożywcze pierwszej potrzeby. W tej ostatniej dziedzinie fiasco byłoby kompletnem bez pomocniczych

kooperatyw, jako organów rozdzielczych. Całkiem gołosłownym jest twierdzenie Autora, że w kasach chorych będą ogonki, a w instytucjach leczniczych całkowicie upaństwowionych ich nie będzie. Przechylił temu przepelnione do absurdu bezpłatne przychodnie ziemstw rosyjskich z ryczałtową opłatą lekarzy.

„A jakby zawód lekarski podniósł się i wyszlachetniał w takim ustroju“ — mówił Autor. Tak rzeczywiście było w początkowym okresie ziemstwa rosyjskiego, okresie propagandy. Z pośród lekarzy ziemskich tego okresu uniwersytet moskiewski miał najlepszycy i najzacniejszych profesorów. Ale, kiedy bezinteresowna praca pionierów raz przelamała nieufność ludu do medycyny, kiedy przychodnie i szpitale obsługiwane przez nich zaczęły się przepelniać, okazało się, że opłata ryczałtowa pracy lekarza przy nieograniczonej bezpłatności ze strony pacjentów jest faktycznie opłatą odwrotnie proporcjonalną do sumiennosci, wiedzy i talentu danego lekarza: najlepsi byli przeciążeni, nie mieli czasu na praktykę prywatną, dochodzili do neurastenji, pijaństwa, morfinizmu i nędzy. Sprytniejsi z teje służby umieli zrobić prawie synekurę, lub prędko od niej zmykali. W ostatnich czasach przeciętny poziom tych upaństwowionych lekarzy bynajmniej nam, indywidualistom nie imponował. Kiedy podczas wojny (jeszcze przed bolszewizmem) w Moskwie, szczytającej się wysokim poziomem ziemskiej medycyny, naradzaliśmy się urzędowo z grupą ziemskich lekarzy z powodu niechęci ze strony naszych wygnańców do odsyłania dzieci chorych na szkarlatynę do szpitali miejskich, zaproponowali nam oni całkiem serjo wyjście bardzo proste — nie leczyć ich wcale.

Na wysoko wanościową pomoc lekarską składa się nauka, technika i sztuka.

Czyż żądamy upaństwowienia i ryczałtowej opłaty pracy artystów poza ich pracą nauczycielską w szkołach w imię ich uszlachetnienia i uprzystępnienia wytworów ich pracy maso mszerokim?

Panuje tu niepodzielnie na całym świecie skrajna indywidualizacja plac akordowych, która w medycynie może być mniejszą, bardziej szablonową. Autor powołuje się na ryczałtową opłatę sądownictwa. Przykład nieodpowiedni: choroba w większości wypadków jest sadem, karą za grzechy przeciwko higienie osobistej lub publicznej, leczenie — obroną, a obrona i w sądzie państwowym opłaca się akordowo. Biedacy i w sądzie często bardzo źle wychodzą na obronie bezpłatnej, czy ryczałtowo płatnej „z urzędu“.

Zgoda na to, że organizacja uprzystępniająca wszystkim pomoc lekarską i podnosząca jej poziom jest niedbicie potrzebną i że lekarz należący do organizacji zapłaty od chorego przyjmować nie może, ale ktoś (kasa chorych, kooperatywa czy inna organizacja), pracę lekarza i personelu pomocniczego racjonalnie ocenia i akor-

dowo do małej pensji stałej dopłacać musi na podstawie ksiąg przychodni i szpitali. Lecznictwo ma tyle wspólnego z sądem, że potrzebuje też wyraźnych instancji apelacyjnych zamiast obecnego błędzenia od Annasza do Kaifasza w cięższych wypadkach. Przedstawiciele kas chorych w porozumieniu z wyborowem najkompetentniejszym przedstawicielstwem lekarskich związków zawodowych muszą ustalać takie instancje apelacyjne i odpowiednie cenniki niezbyt niskie za rozmaite rodzaje pomocy.

Leży to jeszcze bardziej w interesie chorych, niż lekarzy, bez tego niezbyt prostego, ale koniecznego środka nie wyobrażam sobie podniesienia poziomu pomocy lekarskiej dla mas szerokich.

Bez tego lepsi klinicyści będą i nadal trawili zbyt wiele czasu na konsylja domowe, z powodu nieodwołalnej agonji bogacza, a dzielni chirurdzy leczyli krosty na nosie paskarza, zamiast pracować produkcyjnie w instancjach apelacyjnych organizacji i kształcić nowe szeregi lekarzy, których brak stał się u nas katastrofalnym.

Na dowód, że nie interesą ekonomiczne lekarzy stawiać na pierwszym planie, przypomnę, że dzięki większemu popytowi na maszą pracę, niż jej dać obecnie możemy, mogliśmy swobodnie partolnić i paskować w praktyce prywatnej, nie troszcząc się o urzędy i organizacje, gdyby to nie groziło wzmożeniem prowrotnej fali znachorstwa, felczeryzmu i zbytecznej śmiertelności, jak podobne zjawisko w dziedzinie „sztuki graficznej“ grozi nam recydywą analfabetyzmu.

Sadzę, że pierwszą klęskę Ministerjum Zdrowia mogłoby złagodzić doraźnie, otwierając czasowo z upoważnienia Sejmu granicę dla lekarzy niemieckich i austriackich, których musi być względny nadmiar, bez żądania od nich dodatkowych egzaminów państwowych. Imigracja lekarzy cudzoziemców bywała u nas dawniej zjawiskiem częstym i pożytecznym.

Jak zaradzić klęsce drugiej, która nasze piśmiennictwo lekarskie doprowadza do zupełnego zanikły, to zasługuje na osobną dyskusję na łamach „Trybuny“. Szeroką i skuteczną inicjatywę programową organizacji pomocy lekarskiej wielki czas już podnieść na ogólnym zjeździe lekarzy Rzeczypospolitej, którego obyśmy nareszcie jaknajprędzej doczekali. Do sekcji społecznej tego zjazdu należy zaprosić przedstawicieli i znawców kas chorych, związków zawodowych i kooperatyw.

Z naszym szkolnictwem byłoby jeszcze wiele gorzej, niż jest, gdyby o jego organizacji decydowało tylko Ministerjum W. R. i O. P. gdyby nie było zjazdów nauczycielskich.

Zjeżdżali się już wszyscy, nie wyłączając formalni, tylko my, lekarze, nie zdążyliśmy się zjechać. Czy nie w tem tkwi główna przy-

czyzna względnej jałowości i słabego wrastania w życie naszego Ministerjum Zdrowia? Czasy twórczości czysto biurokratycznej minęły bezpowrotnie.

Napoleon Czarnocki.

Warszawa a prowincja.

Pod powyższym tytułem umieszczamy głos jednego z wyższych urzędników pewnego ministerjum, działacza zarazem społecznego, który z racji swego stanowiska dużo czasu przebył na prowincji i miał możność się przyzrzeć owemu życiu. (R. T).

Jeżeli mówiono zwykle, że Paryż — to Francja, niepodobna zgola wygłaszać tego twierdzenia o stolicy odrodzonej Polski. Warszawa nie odzwierciadla sobą nie tylko wszystkich trzech dawnych zaborów, ale nie może być nawet uważana za odbicie nastrojów dawnej Kongresówki, za syntezę jej polityczno-społecznej umysłowości.

Wiadomo powszechnie, że już na początku ubiegłego wieku Warszawa miała swą określoną fizjonomję, fizjonomję miasta przede wszystkim lekkiego, wesołego, bawiącego się; zdobywała się oczywiście stolica i na wielkie momenty: była Warszawa roku 94 i dni listopadowych, Warszawa pogrzebu pięciu poległych i wypadków roku 1905, ale zasadniczy jej charakter pozostał i przebiega się wyraźnie i dzisiaj. Warszawa, stolica dużego państwa — to nie tylko siedlisko sejmu i zwierzchnich władz Rzeczypospolitej, to przede wszystkim miasto kabaretu i operetki, miasto lekkiego dowcipu i lekkiego życia. Warszawa przedwojenna, Warszawa zachwaszczona moskiewskiem czynownictwem i wszelakim szwindlarstwem, wyhodowała z czasem specjalny typ człowieka. Człowiek warszawski — to przede wszystkim człowiek sprytny, człowiek umiejący doskonale przystosować się do zmiennych warunków życia.

Zdawało się, że gdy na zegarze o dziejowym wybiła wielka godzina, gdy Warszawa stała się stolicą potężnego państwa, że człowiek warszawski zniknie z powierzchni, że osobliwa chwila innych wytoni ludzi. Rzeczywistość jednakże wykazała, że człowiek warszawski przedzierzgnął się odrazu w obywatela niepodległej ojczyzny i że wnet zapełnił sobą wszelkie zarządy centralne i ministerja. A obok niego na bruku stolicy pojawił się liczny poczet ludzi z Małopolski i z Kresów, wśród których bynajmniej nie przeważał typ

istotnego obywatela, a raczej dominował poszukiwacz złotego runa lub blasku i rozgłosu. Kim bo nie nasiąkla Warszawa przez czas ostatnich dwóch lat! Niektóre z naszych ministerjów podobne są do formacji geologicznych, tworzonych przez poszczególne okresy: każda epoka szybko mijających rządów odbijała się na składzie osobowym poszczególnych ministerjów. W ten sposób powstawały nie celowe twórcze organizacje, ale zbiorowiska przypadkowo ściągniętych ludzi, zawdzięczających przeważnie swe stanowiska tej czy innej koterji, tej czy innej klisie, a zawsze i wszędzie przedewszystkiem stosunkom i protekcji. Nietylko o posadzie w państwowej instytucji, ale o stanowisku naukowem, o katedrze uniwersyteckiej, decydują przeważnie nie kwalifikacje fachowe i naukowe, tylko ta czy inna protekcja, tylko oportunizm życiowy, tylko możliwie wielka doza umiejętności chodzenia około własnych interesów.

A tymczasem właściwy intelekt polski, który za czasów ucieszenia narodu pracował na niewdzięcznem wówczas polu tej czy innej pracy narodowej, tworzył irredentę, znosił prześladowania, jest w znacznej swej części poza obrębem życia państwowego i politycznego. Za ciasno i za duszno mu w biurach rządowych, a warunki chwili nie dopuściły go do areny sejmowej. Cierpi więc niedostatek i z goryczą spogląda na panoszącego się karierowicza i paskarza politycznego, który na grunt warszawski przeszczepia wiele z przeszłości Petersburga lub Wiednia.

Ta Warszawa jednakże nie jest bynajmniej syntezą współczesnego politycznego oblicza Polski. Dość zetknąć się choć powierzchownie z życiem szerokiej prowincji, by dojść do tego wniosku. Prowincja dawnego Królestwa zdołała przez czas istnienia bytu niepodległego zmienić się do niepoznania; wielki przewrót polityczny odbił się na niej daleko silniej i gruntowniej aniżeli na Warszawie. Z miasta powiatowe, które dawniej było siedliskiem biurokracji rosyjskiej i handlarstwa żydowskiego, powstało stopniowo skupienie inteligencji polskiej, gdyż ilość urzędów w powiecie jest znaczną, może nawet zbyt znaczną. Przez organizację samorządową, przez sejmik stało się miasto powiatowe rzeczywistym ogniskiem polityczno-społecznego życia powiatu, a życie to zaczęło bić coraz intensywniej: Na arenie sejmiku o olbrzymiej przewadze żywiołu włościańskiego, na zgromadzeniach mniej lub więcej licznej rady miejskiej, w całym szeregu organizacji społecznych i kulturalnych, zaczyna się wytwarzać duch obywatelski, ścierają się tu i owdzie ze sobą prądy polityczne i społeczne, ale konieczność zmusza powoli do współpracy, do ustępstw wzajemnych. I oto na szerokiej prowincji siłą rzeczy wytwarzają się drobne ogniska pedagogiki i kultury państwowej, gdyż tam muszą się jednoczyć przeciwieństwa, musi przewycięzanem być często ograniczone sobkostwo indywidualne czy klasowe. A przytem na prowincji tu i owdzie spotyka się pojedynczych ludzi, którzy

dać mogą i dają wiele z siebie; zdarzają się jednostki bynajmniej nietuzinkowe czy to wśród wolnych zawodów, czy też wśród urzędników. A taka wybitniejsza indywidualność ma wszędzie dzisiaj dla siebie pole ogromne na prowincji, gdzie w dzisiejszym okresie wszystko jeszcze zależy od inicjatywy i energii człowieka.

I zachodzi oto okoliczność, że w Polsce w obecnej chwili łatwiej jakoby udaje się angielska metoda samorządu, aniżeli pruska centralizującego autorytetu państwa. Nigdzie bowiem nie występuje tak jaskrawo, jak w stolicy, przepaść, jaka dzieli nasz radykalizm społeczny od wojującego nacjonalizmu, nigdzie może ten ostatni nie występuje w tak nieprzejednanej formie, która znajduje swój wyraz w prasie stołecznej.

Ze stolicy nie idzie na szeroką prowincję duch demokracji, nie idzie duch prawdziwej idei państwowej: z partyjnych dzienników stołecznych sączy się wciąż niezdrowa agitacja stronnicza, wylewają się kubły ulicznikarskich insynuacji osoblistych. A prowincja chciałaby usłyszeć echa potężnej i celowej pracy państwo-twórczej, otrzymać ziarna złotej mądrości politycznej. Ale nie może, nie potrafi przeważnie dać jej tego człowiek warszawski, ten, którego echem i odbiciem jest znaczniejsza część prasy stołecznej; i oto samorodnie, sam z siebie wytwarza się na szerokiej prowincji typ przyszłego obywatela Rzeczypospolitej, typ, który być może już w najbliższym sejmie ukaze się na szerszej arenie politycznej. Ten przyszły obywatel i poseł przyniesie już z sobą coś więcej aniżeli przynieśli ci przypadkowi wybrańcy, którzy zasiadają na ławach sejmu ustawodawczego. Przyniesie ze sobą wyniki paroletniej pracy polityczno-społecznej, określoną fizjonomję polityczną i potrafi zapewne stworzyć świadomą i konsekwentną większość parlamentarną.

S. K.

W zwierciadle.

Personel Biura Prezydjum Rady Ministrów wynosi 84 urzędników, oraz 40 osób służby, czyli jeden służący na dwu urzędników.

Na zakup sreber i porcelany budżet prezydjum rady ministrów preliminaruje — 1 (jeden!) milion mk.

Ministerjum Skarbu (w b. Kongresówce) daje 252.620.589 mk. deficytu.

Hej, pod polnego wiatru powiewy...

Hej, pod polnego wiatru powiewy,
Słodką, wieczorną otchnięcie ciszą,
Złote dziewanny w mgłę się kotłyszają,
Niby zakłętę, słowiańskie dziewy...

W ich cichym, sennym, tajemnym szmerze,
Co jest, jak gęźba Baśni syrenia,
Dziewiczych piersi słyszę westchnienia,
Co były, niby noc letnia, świeże...

W ich rosie srebrnej, lśniącej matowo,
W klechdowem, zwiewnem, pawiem pomroczu,
Widzę lzy mgławych, błękitnych oczu,
Będące duszy runiczną mową...

Z ich baśniowego, mgławego złota,
W tę noc czarowną magicznie wionie
Sen bursztynowy gontyn w Arkonie
I bezgraniczna, polska tęsknota...

* * *

Hej, na jałowe piaski Pomorza
Pada, jak zwiewnych lśniń kantylena,
Jak w blask zakłęty nokturn Szopena,
Od złotych dziewann klechdowa zorza...

Na osypiskach smutnych się mgławi
Słowiańsko, niby w mgłę przedwiekowej
Bogów Bałtyku nimb bursztynowy,
Jak blask przyémiony złocistych pawi...

Jakby się polskiej baśni sezamy,
Co zgoła sama o sobie nie wie,
Otwarły przy tych dziewann powiewie,
Śród lśniń złocistych czarownej gamy...

Wacław Wolski.

„Osoba domniemanego zwycięzcy jest przedmiotem ogólnych rozmów. Walka niewątpliwie będzie zażarta, a zwycięstwo łatwe do przewidzenia“ — pisze organ nekrologów. Czyżby to chodziło o przesilenie polityczne i prezesa gabinetu? Ach, nie, przedmiotem ogólnych rozmów w redakcji „Kurjera Warszawskiego“ jest — bieg Belweder — Stare Miasto.

JACK LONDON.

Straszliwi solomończycy.

II.

Bertie spał tej nocy w małej kabynie kapitana. Jedna z jej ścian była zawieszona karabinami. Nad leżakiem wisiały oprócz tego jeszcze trzy sztuki tej broni. Pod leżakiem stała duża skrzynka, która po otworzeniu okazała się napełnioną amunicją, dynamitem, oraz kilkoma pudłami detonatorów. Wobec tego wolał wybrać leżak po przeciwnej stronie kajuty. Na małym stoliku leżała, rzucając się w oczy, książka okrętowa „Arli“. Bertie nie wiedział, że była ona specjalnie przez kapitana Malu przygotowana i wyczytał w niej, jak 21 września dwu ludzi z załogi wpadło do morza i utonęło. Lecz Bertie czytał między wierszami i wiedział lepiej. Czytał o łodzi „Arli“, która rozbija się w Suu, przyczem zginęło troje ludzi; i jak kapitan został kucharza gotującego ludzkie mięso w kuchni okrętowej, mięso nabyte przez załogę w Fui; i jak niespodziewany wybuch dynamitu, natychmiast sygnalizowany, zabił ludzi z załogi; o atakach nocnych i o portach unikanych w ciągu nocy; o napadach buszmenów w błotach porośniętych magnolją i o flotylli ludzi morskich w ciągu dalszych wycieczek. A jakże, częstemi były wypadki śmierci na dyzenterję.

Ze strachem zauważył, że umarło na nią między innymi dwu białych, podobnie jak on goszczących na „Arli“.

— Wie pan, — rzekł następnego dnia Bertie do kapitana Hansena, — ośniła mię wasza książka okrętowa.

Kapitan wyraził lekkie niezadowolenie z powodu pozostawienia książki na wierzchu.

— Cała ta dyzenterja, wie pan, to wszystko bajki, podobnie jak i przypadkowe zatonięcia, — ciągnął dalej Bertie. — Czyż rzeczywiście była kiedy jaka dyzenterja?

Kapitan otwarcie wyraził podziw dla przenikliwości swego gościa, upierał się czas jakiś przy pełnych oburzenia zaprzeczeniach, wreszcie łaskawie je porzucił.

— Widzi pan, panie Arkwright, to tak się rzeczy mają. Te wyspy zdobyły sobie fatalną, lecz zasłużoną, opinię. Prawie codziennie zdarzają się napady na białych. Przypuśćmy, że jeden człowiek zostanie zabity. Towarzystwo za tego rodzaju czyn płaci kulką karabinową. Lecz jeśli człowiek umiera na skutek choroby — wszystko jest w porządku. Nikt nie ma z tego tytułu nieprzyjemności. Sądzilem, że kapitan Arli umarł na dyzenterję, gdy zajmowałem jego miejsce. A potem było zapóźno. Podpisałem umowę.

— A jednak, — rzekł p. Jacobs, — zbyt wiele jest wypadków ~~z~~onięcia. Jest to niewątpliwie złe, lecz to wina rządu. Białych ma zbyt szczupłe prawa obrony przed Murzynami.

— Tak, — ciągnął dalej opowiadanie kapitan. — Zna pan historję „Princess“ i tego oficera? Jechało nią pięciu białych i rządowy agent. Kapitan, agent i inni dojeżdżali do łądu w dwu łodziach. Zostali wszyscy wymordowani. Oficer i jego pomocnik znajdowali się na okręcie wraz z załogą liczącą, około piętnastu samoanczyków i touganńczyków. Murzyńska flotylla napadła od brzegów. Pomocnik i załoga zostali zamordowani w mgnieniu oka. Oficer miał trzy pasy z ładunkami i dwa winchestery. On jeden pozostał przy życiu i nie może mu pan brać za złe, że był jak oszalały. Dopóki mógł, strzelał z jednego karabinu, gdy ten się zagrzał, z drugiego. Na pokładzie było czarno od Murzynów. Wszystkich ich pozabijał. Strzelał do nich, gdy uciekali z pokładu i strzelał do wsiadających na łódki. Gdy wskakiwali do wody, by uciec od niego, oszalały, strzelał do nich jeszcze. I co sobie tem zdobył?

— Siedem lat w Fidżi, — wybuchnął oficer.

— Rząd orzekł, że nie może go usprawiedliwić, gdyż strzelał do Murzynów, którzy już byli w wodzie, — objaśnił kapitan.

— Dlatego oni teraz tak często umierają na dyzenterję, — dodał oficer.

— Słusznie, — rzekł Bertie, — czując, że serdecznie pragnie, by jego wycieczka była już skończona.

Tego samego dnia wdał się w rozmowę z czarnym, którego mu wskazali jako ludożercę. Na imię mu było Sumasai. Spędził trzy lata na plantacjach w Queenslandzie, był w Samoa, na Fidżi i w Sydnegu, na pokładzie okrętu, jako jeden z załogi, objechał Nową Brytanię, Nową Irlandję, Nową Gwineę i archipelag Admiralski: O tak, zjadł wielu ludzi. Ilu? Ilości już nie pamięta. Tak, to byli sami biali ludzie; byli bardzo smaczni, o ile smak ich nie był mdły. Zdarzyło mu się kiedyś zjeść takiego właśnie.

— Doprawdy, — zawołał, rozpamiętując ten fakt. Mdlilo mnie po nim bardzo długo. Mój żołądek zbyt się nad nim napracował.

Bertie'm wstrząsnął dreszcz. Zapytał go o głowy. Tak, Sumasai ma ich kilka ukrytych na lądzie, w bezpiecznym miejscu, wysuszonych na słońcu i uwędzonych. Jedna z nich należała do kapitana okrętu. Ma długie wąsy. Sprzedałby ją za dwie porcje tytoniu. Głowy czarnych sprzedałby za jedną porcję. Ma także głowy rozbójników, gorzej zachowane, które sprzeda za dziesięć gwoździ.

W pięć minut potem siedział Bertie na macie koło czarnego z jakąś okropną chorobą skóry. Uciekł co prędzej; powiedziano mu, że to jest trąd. Zbiegł pośpiesznie na dół i umył się antyseptycznym mydłem. Czynieć to musiał jeszcze wielokroć w ciągu dnia, gdyż każ-

dy krajowiec, przebywający na okręcie miał złośliwe wrzody tego czy innego rodzaju.

Gdy „Arla“ stanęła na kotwicy (w przystani wśród mielizn porośniętych magnolją, pokład jej otoczony został podwojnemi rzędami kolczastego drutu. Wyglądało to, jakby to tak właśnie być musiało i gdy Bertie zobaczył wokół łódki Indian, uzbrojonych w oszepepy, łuki i strzały, zapragnął jeszcze serdeczniej niż poprzednio, by wycieczka jego skończyła się jaknajprędzej.

Tego wieczoru krajowcy bardzo wolno opuszczali okręt o zachodzie słońca. Kilku z nich uderzyło oficera, gdy kazał im lądować.

— Już ja ich tu zatrzymam, — rzekł kapitan Hansen.

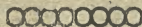
Powróciwszy, pokazał Bertie'emu nabój dynamitu, uwiązany do wędki. Zdarza się czasami, że owinięta w papier butelka chlorodynu z niewinnym materiałem wybuchowym nikogo nie może przerazić.

Lecz przeraziła Bertie'ego i przeraziła krajowców. Gdy kapitan Hansen zapalił lont i przyczepił wędkę do końca opaski biodrowej krajowca, tego opanowywała tak nieprzeparta ochota lądowania, że zapomniał o zrzuconiu opaski. Biegł przed siebie, a nabój kołysał się jak ogon za nim; krajowcy pociągali opornych i skakali przez kolczaste druty. Bertie był przerażony. Taki to był kapitan Hansen. Zapomniał o swoich dwudziestu pięciu rekrutach, z których każdemu wypłacił trzydzieści szylingów zadatku. Uciekli na brzeg razem z tubylcami, pędzeni przez tego, który miał uczipioną butelkę z chlorodynem.

Bertie nie widział wybuchającej butelki; lecz oficer wywołał eksplozję naboju dynamitowego, wówczas gdy nie mogło to już nikomu zaszkodzić i Bertie przysiągłby na admirałskim sądzie, że wybuch nastąpił na murzynie.

Ucieczka dwudziestu pięciu rekrutów kosztowała „Arlę“ czterdzieści funtów, a ponieważ uciekli w krzewy, nie było nadziei wylapania ich. Kapitan i oficer postanowili utopić swój smutek w zimnej herbacie. Zimna herbata była w butelkach od whisky i Bertie nie wiedział czy to ta zimna herbata właśnie tak ich podnieciła. Wiedział tylko, że obydwaj się upili i długo dyskutowali nad tem, czy tego Murzyna zapisać jako umarłego na dyzenterję czy też jako przypadkowo utopionego. Gdy wreszcie posnęli, był on jedynym białym człowiekiem, co czuwał, obawiając się napadu z wybrzeża i buntu załogi.

(Dok. nast.)



Ze sztuki.

Wystawa prac Szczuki. Klub artystyczny w „Polonji“.

Warszawa nie widziała dotychczas podobnej wystawy! Oto talent młody, ale widoczny, wystąpił z satyrą ciętą wszystkiego, co dotychczas zwało się „Sztuką“. Począwszy od asyryjskich płaskorzeźb, a skończywszy na kubizmie i formizmie, młody artysta ośmiesza karykaturalnie, tak zwane „kierunki“ czy „style“, a czyni to z tak wielką przesadą, zacięciem i pewnością, iż w pracach swych zbliża do siebie najwyraźniejsze kpiny z majestatem patosu Koturnowego.

Lubię, gdy młody talent, zamiast dreptać po wydeptanych ścieżkach różnych nieodczuwanych przez siebie „izmów“, pieni się i szumi, jak potok nieokiełznany, gdy tworzy różne ekstrawagancje, na których widok, nietylko „burzuje“ ale i krytycy gęby rozdziawiają ze „świętego oburzenia“, gdyż taki talent uprawnia do uwierzenia w jego istnienie, żywotność i oryginalność. A talent ten w pracach młodego artysty wyczuwa się w każdej linii, w każdej formie, mimo ich karykaturalnej przesady. Otóż, gdy ta ochota do kpin przejdzie, gdy po paru latach młody artysta wystąpi z wystawą swych prac pomyślanych serjo, czyli, gdy artysta pokaże nam samego siebie, wówczas, dzieła jego spotkają się z oceną zupełnie inną od tej, jaką obecnie areopag sędziów wygłosił.

W. Trojanowski.

Salon polskiej Sztuki Nowoczesnej.

Na bieżącą wystawę Salonu polskiej sztuki nowoczesnej (Bođuena 3), nadesłane zostały niezbrane (gdyż przechowywane w rodzinie) prace mistrza Matejki, których wysoka wartość artystyczna zainteresuje wszystkich miłośników sztuki i artystów.

Przepięknę i subtelne studjum młodej dziewczyny, wykonane w Monachjum w r. 1858, najpierwsze pomysły Skargi, Rejtana, Unji Lubelskiej, Hotelu Pruskiego, nietylko świadczą o wielkim talencie mistrza, ale odsłaniają moment procesu twórczego jego nieśmiertelnych kompozycji historycznych, stanowiących dumę sztuki polskiej.

Po za temi dziełami wystawionem zostało studjum do głowy królowej Bony, oraz tablice kostjumów polskich, ręką mistrza pokolorowane i opatrzone jego objaśnieniami.



Kronika polityczna.

EMISARJUSZ TARGOWICY.

„Telegram Codzienny” (New York) z soboty, 1-go maja pisze w artykule B. K.:

Przed niedawnym czasem pojawiły się w „Washington Post” ze strony panów Paderewskiego i Smulskiego uroczyste zapewnienia, że nie wspólnego z artykułami „Morning Post”, „Outlook” i „Washington Post”, w których znieważano Naczelnika, nie mają. Wyznaliśmy wówczas powątpiewania nasze, co do szczerości i prawdziwości tych oświadczeń. Wychodząc z zasady, że panowie „Ex-Attache” nie nie robią darmo, a przeto nie będą wychwalać Paderewskich i Smulskich dla ich pięknych oczu, a napadać na Piłsudskiego jednocześnie, twierdziliśmy, że cały atak przeciw Piłsudskiemu wyszedł ze sfer międzynarodowej wrogiej Polsce finansjery, która dla swych celów wykorzystwała obłąkane ambicje muzykanta i nieokielznany apetyt bankiera, posługuje się zaś różną drobną kanalją polską. Związaliśmy z temi planami niezrozumiały pozornie objaw mianowania na różne stanowiska konsularno-dyplomatyczne ludzi o konducie wręcz zakazanej.

Próbowano zatruć i splugawić organizm młodego państwa. Chciano stworzyć ośrodki zgnilizny, zaszczerpić targowickiego raka, aby cały organizm o śmierć przyprowadzić.

Usiłowania te narażone zostały na niepowodzenia, dzięki panu Buszczyńskiemu, który wraz ze współpracownikami swojemi z konsulatu nowojorskiego stworzył atmosferę czystej i wiernej służby Ojczyźnie w pierwszej placówce państwowości polskiej na gruncie nowojorskim. Strach pomyśleć, co by tu się działo, gdyby różne Waclawy Górskie, Cwikle lub Jechalscy kładli podwaliny pod instytucje społeczno-państwowe. Walka przeciw Naczelnikowi byłaby wówczas prowadzona oficjalnie i otwarcie.

Nie dziwnego przeto, że gniew Mistrzowy przedewszystkim uderzył w osobę pana Buszczyńskiego. Ten uczciwy konserwatysta polski, wierzący katolik został przedstawiony przez złowrogiego grajka jako socjalista, omal że nie ojcobójca. Niemasz gorszej i bardziej niskiej nienawiści nad nienawiść zawiedzionego w swej manji wielkości kabotyńca. Miał dosyć powodów Paderewski do nienawidzenia pana Buszczyńskiego. Pierwszym było oczyszczenie atmosfery na wychodźstwie, wstrzymanie orgji wyzysku i demoralizacji wychodźstwa przez paskarzy, agentów i bankierów podejrzanych.

Nie dziwnego, że ambicje mistrzowe, podsycane umiejętnie i wyzyskane przez wrogów Polski znów wylazły z szwajcarskiej kurzej farmy. Atak na Naczelnika jest początkiem prezydenckalnej kampanji. W dniu trzeciego Maja projektowanym jest przyjęcie przez Sejm Polski nowej konstytucji. Znaczy to rychłe wybory na prezydenta. W tym właśnie leży wyjaśnienie gorączki zniesławiania Piłsudskiego, której objawy notowaliśmy skrętnie. W tym właśnie leży wyjaśnienie, czemu tu gościł w zagadkowej

misji niejaki Faraway-Jechalski. W tym właśnie leży wyjaśnienie, czemu przybył tu „hrabia“ z woli kelnerów Jan Marjan dwojga imion i wielu państwowych przynależności Horodyski.

Zna go amerykańska Polonia nie od dzisiaj. Pamiętają go i z jego działalności w Baltimore, Detroit, Pittsburgu i tak dalej. Są żywi i wiarygodni świadkowie jego uprzednich niedyplomatycznych jeszcze zatrudnień i aktów. Pamiętają go obywatele małopolscy, gdy nagle, bez pożegnania opuścił kraj, który nie poznał się na nim i do Ameryki się udał. Było to przed dwunastu laty.

Rzucamy zasłonę na owe emigracyjne lata. Zajmiemy się za to polityczną działalnością tego pana.

W czasie wojny, jak to wiemy z memorjału Dmowskiego do Koła Międzypartyjnego, wszedł na służbę wywiadowczą angielską, został, jak się wyraża Dmowski, „funkcjonariuszem Foreign Office“. Na służbę tę, podobno, wstąpił jako poddany rosyjski. Skąd dostał paszport rosyjski, będąc pierwotnie poddany austriackim, może zechce sam wyjaśnić. Bylibyśmy bardzo radzi, gdyby to nie było prawdą i pan Jan Marjan Horodyski złożył zaprzysiężone zeznanie, że w paszporcie jego jako już naturalizowanego Anglika nie było wzmianki, że był uprzednio rosyjskim poddanym. A jeśli wzmianka ta była, to winien wyjaśnić publicznie, w jaki sposób stał się czasowo rosyjskim obywatelem w celu uzyskania obywatelstwa angielskiego, którego jako Austriak nie mógł przecie w Angliji w czasie wojny uzyskać.

Czyżby to było taką samą tajemnicą, jak owe honorujskie urodzenie innego przyjaciela pana Paderewskiego, który wioził go własnymi pociągami, osławionego Hamerlinga?

Zna się pan Horodyski na walucie międzynarodowej. I czule ją wspomina. Umiał zawsze o sobie pamiętać. Nawet przy zamawianiu „mszy u kardynałów“, za które z niechęcią najwyższą wypłacił mu z wevejskiego komitetu pan Osuchowski cztery tysiące franków.

Pomogły mu msze rzymskie. Cudownie. Nazywa go Dmowski „agentem przy Watykanie“. Pisaliśmy rok temu na podstawie francuskich dzieł o dziwnej roli, którą odegrał Watykan w forsowniu wraz z pewnymi czynnikami francuskimi-przewczesnego pokoju z Niemcami.

Przypomną zapewne czytelnicy nasi podaną w swoim czasie, opartą na dowodach, które w razie sprawy obowiązujemy się dostarczyć, że pan Paderewski przywiózł mandat watykański do Ameryki i okazał go tutejszym księżom na poufnym posiedzeniu.

Zresztą mniejsza o to. Czy przez Krym, czy przez Rzym, czy przez „boskie uczucie Rosjan do Polaków“, losy pana Horodyskiego związane zostały z losami fortepianisty. Stał się nieodstępnym Heleny Pierwszej (nie-doszłej). Przez wiele miesięcy starał się pan Paderewski narzucić tego pana na wice-ministra spraw zagranicznych Rzeczypospolitej. Ale nawet dla ówczesnej Warszawy było tego za wiele.

Ten pan jest obecnie w Ameryce. Po co, przyszłość najbliższa to okaże. Pobyt jego w Angliji zbiegł się z kampanją oszczerczą przeciw Na-

czelnikowi. Zbiega się i tu z taką samą kampanją. Czy jest w tym przy czynowy związek, czy tylko przypadek, nie wiemy. Dziwne przypadki cho dzą po ludziach, zwłaszcza takich, co w ciągu lat pięciu potrafili być kolejno Austriakami, Rosjanami i... Polakami.

Już ze względu na ten kameleonizm narodowy wart pan ten szczegó lnej uwagi i ciekawości.

Niemieccy komuniści i rosyjscy bolszewicy.

Podajemy poniżej poglądy Wasyla Suchomilnowa, ogłoszone w Nr. 25 „Pour la Russie“. Prócz danych liczbowych, których wiaro godności nie możemy skonstruować, poglądy są charakterystyczne ze względu na obecną rolę eserów.

Komuniści zgodnie z niezależnymi oświadczają, że Niemcy nie „doj rzały“ jeszcze do dyktatury proletariatu. Na zebraniu rad eksploatawania rewolucyjnego wielkiego Berlina (dn. 26 marca) obywatel Piek oświadczył: „Na równi z komunistami żądamy dyktatury proletariatu, lecz wiemy również, że formuła ta napotyka opór znacznej większości proletariatu. Czy możliwą jest republika sowień? Każdy komunista winien głosić: Nie, Niemcy i kraje zachodnie nie są na to dostatecznie przygotowane!

Spartakusowcy usiłowali również, za przykładem bolszewików, osiągnąć władzę przy pomocy zamachów wojskowych w grudniu 1918 r. i styczniu 1919, lecz bez powodzenia. I dzisiaj przyznać muszą, że większość proletariatu niemieckiego jest dla nich wrogo usposobioną. Caussy wyznaje w swych cieka wych korespondencjach do „L'Humanité“, że liczba ich jest nie znaczna. I w ostatnich oświadczeniach Centralnego Komitetu niemieckich ko munistów dźwięczą nowe struny, z punktu widzenia bolszewickiej praw o-wierności prosto heretyckie:

„Dla dalszego zjednywania mas proletariackich komunizmowi byłby sprawą pierwszorzędnego znaczenia taki stan rzeczy, któryby pozwalał na ko rzystanie ze swobody politycznej bez ograniczeń i w którym burżuazyjna de mokracja nie mogłaby się przejawiać w postaci dyktatury kapitału“.

A więc demokracja nawet „burżuazyjna“ nie oznacza jednocześnie a dyktatury kapitału. Lecz spotykamy rzeczy znamiennejsze jeszcze.

W dalszym ciągu tego samego oświadczenia stronnictwo komunistyczne uznaje za rzecz pożądaną utworzenie rządu socjalistycznego, złożonego z przedstawicieli większości i niezależnych i obiecuje „stać w stosunku do takiego rządu na stanowisku lojalnej opozycji“, wyjaśniając, że jako „lojalną opozycję“ rozumie „nieprzygotowywanie rewolucji przy użyciu siły, pod warunkiem, że pozostawiona zostanie stronnictwu całkowita swoboda w pro wadzeniu jego politycznej propagandy“.

Jest to niezmiernie ciekawe dla tych, którzy chcą badać poszczególne fazy rewolucji rosyjskiej i zdać sobie sprawę z charakteru bolszewickiego zamachu stanu i treści rządu „komunistycznego“ w Rosji.

„Niemą dziś w Niemczech dość realnych podstaw dla dyktatury proletariatu“ oświadcza manifest komunistyczny.

A Rosja czyż jest dość „postępowa“ dla tej dyktatury i dla stworzenia komunistycznego społeczeństwa? Niemcy są krajem w najwyższym stopniu uprzemysłowionym. Niemiecki proletariat, który stanowi prawie połowę ludności ma już od dziesiątków lat bardzo rozwiniętą organizację klasową: potężne związki zawodowe, stronnictwo polityczne, kooperatywy, prasę zawodową i socjalistyczną niezwykle bogatą. Ma za sobą 60 lat walki i politycznego wyrobienia. I mimo to Niemcy jeszcze nie „dojrzały“. W Rosji proletariat przemysłowy stanowi drobny bardzo odsetek ludności (8%). Organizacje powstały, pomijając krótki okres 1905 r., na wiosnę w roku 1917. W czasie rządów carskich zupełnie nie był możliwym normalny rozwój organizacji robotniczych. Zaledwie drobna cząstka, elita robotnicza, miała możliwość zdobywania doświadczenia politycznego... w więzieniach i na Syberji. Lecz to nieprzeszkadza rosyjskim bolszewikom i ich zagranicznym współwyznawcom wierzy, że w Rosji istnieją realne podstawy, których niema w Niemczech.

Za czasów Rządu Tymczasowego stronnictwo bolszewickie korzystało w całej pełni ze swobody propagandy; dalekie od zadowolenia się „lojalną opozycją“, użyło tej swobody na przygotowanie wojskowego powstania. I po zamachu stanu nie zawahało się znieść na równi ze swobodami politycznymi „niebezpiecznej gry opozycji“, jak to z cynizmem wyznaje Bucharin w jednym ze swych artykułów, przedrukowanych w „Populaire“.

Lenin w mowie swej, ogłoszonej w tymże piśmie (13 kwietnia) znów nastaje na konieczność dyktatury bolszewickiej dla urzeczywistnienia socjalizmu w Rosji. Pragnie „współpracy“ ludu, lecz odmawia mu praw politycznych, motywując to tem, że „masy ludowe nie posiadają dyscypliny“. Lecz najciekawszem jest jego wyznanie, że stronnictwo bolszewickie nie stanowi większości nawet wśród proletariatu przemysłowego. „Armia syndykalistyczna, twierdzi on zgodnie z telegramem, ogłoszonym w „Populaire“, liczy 3.000.000 członków, w tem 600 tysięcy komunistów. Oni to powinni być awangardą tych trzech milionów“. „Być awangardą“ znaczy tutaj, wiemy o tem dobrze, sprawowanie władzy nieograniczonej. A więc jedna piąta proc. lub jedna dwudziesta proc. „zorganizowanego“ proletariatu jedynie, zgodnie z wyznaniem Lenina, należałaby do stronnictwa komunistycznego. Sądzę zresztą, że cyfry przez niego podane są przesadzone.

Według spisu, zrobionego przy końcu roku 1918 w Rosji było, nie biorąc pod uwagę Ukrainy, 4350 przedsiębiorstw przemysłowych, zatrudniających 1.163.000 robotników i urzędników transportowych i cały proletariat Ukrainy otrzymamy cyfrę od 2 do 3 milionów. A na początku 1917 r. ogólna liczba rosyjskich proletariuszy wynosiła od 6½ do 7 milionów. To znaczy, że w pierwszym roku „dyktatury proletariatu“ liczba jego zmniejszyła się o 50%.

Wszystkie dokumenty bolszewickie, jakie posiadamy, wykazują, że

emigracja robotników z miast do wsi nie ustała z rokiem 1919, raczej przeciwnie.

Przypuśćmy jednak, że jeszcze ciągle są w Rosji 3 miliony robotników. Dużo dałoby się powiedzieć o ich „zorganizowaniu“, a zwłaszcza o roli syndykatów i o „syndykalistycznych“ statystykach. Lecz nie będę kładł na to nacisku.

Liczba 600.000 komunistów zdaje się również być wyolbrzymioną. Okręg moskiewski jest jednym z najbardziej przemysłowych okręgów Rosji. W 1917 r. liczył około pół miliona proletariuszy. Leży w centrum działalności bolszewizmu. A zgodnie z oficjalnymi danymi liczba członków stronnictwa bolszewickiego w tym okręgu wynosiła w roku ubiegłym 2881 osób. Stronnictwo, panujące, stanowi więc w tym okręgu zaledwie 6 do 7% proletariatu przemysłowego i od 2 do 3% ogólnej liczby ludu pracującego. I co jest może najbardziej charakterystycznym, z liczby 2881 bolszewików, 7% tylko należało do stronnictwa przed rewolucją, 30% przystąpiło w czasie od marca 1917 r. i 63% po październikowym zamachu stanu.

Komuniści niemieccy ogłaszają się dziś za stronników „demokracji burżuazyjnej“ i swobód politycznych, gdyż są mniejszością; oświadczają, że dyktatura proletariatu powinna być w ręku najsilniejszej jego frakcji i pragną ograniczyć się do spokojnej pracy nad propagandą i organizacją, dopóki niema realnych podstaw“ dla dyktatury proletariatu. Na tem polega „nowa orientacja“ komunistów niemieckich, jak to stwierdza „L'Humanité“. Czy jest ona szczerą? Czy jest ostateczną? Wydaje nam się, że w umysłach spartakusowców i niemców niezależnych panuje w dalszym ciągu wielkie zamieszanie odnośnie do dyktatury proletariatu i warunków, w jakich możliwem jest zwycięstwo rewolucji socjalnej. Wielbią oni w dalszym ciągu dyktaturę bolszewicką w Rosji. A w koncepcji bolszewickiej „realną podstawą“ dyktatury proletariatu jest poprostu i jedynie siła zbrojna. W przeciwieństwie do tego, inną zupełnie jest masza koncepcja.

(Ciekawe, jaka to właściwie jest ta „zupełnie inna“ koncepcja eserów?)

Przegląd prasy.

Polskim placówkim dyplomatyczno-konsularnym na Wschodzie poświęca artykuł wstępny Jan Grzegorzewski w lwowskiej „Nowej Polsce“ (Nr. 24 z dnia 12 czerwca):

„W pałacu ministerjum spraw zagranicznych przy ul. Miodowej w Warszawie jest wprawdzie napis: „Oddział wschodni“, ale tam ani jednego niema orientalisty, t. j. człowieka, znającego Wschód i języki wschodnie. Nie lepiej się dzieje w ekspozyturach zagranicznych — na stanowiskach naszych posłów, konsulów, agentów dyplomatycznych i konsularnych i t. p. na Wschodzie. Z wyjątkiem misji kaukaskiej, dokąd się wśród wysłanego personelu zabląkał przypadkowo jeden arabista, oraz legacji japońskiej, gdzie również

ocknął się — jako attaché militaire, pułkownik — obeznany z japońszczyzną, — reszta kilkadziesiąt stanowisk na Wschodzie są obsadzone ludźmi, którzy przeważnie przedtem nie widzieli Wschodu lub nie mieli z nim nic do czynienia“.

J. Grzegorzewski nadmienia, że orientaliści polscy zgrupowani w stacji naukowej naszej na Wschodzie „Hyacinthum“, tudzież około wydawanego w Krakowie „Rocznika orientalistycznego“, zaofiarowali jeszcze roku zeszłego swe usługi Ministerjum Spr. Zagr., proponując jednocześnie założenie instytutu orientalistycznego w kraju, ku czemu jako gotową podwalinę ofiarowali bezinteresownie ową stację wschodnią, fundację przeszło półtoramilionową.

Rzeczowej odpowiedzi M. Spr. Z. jeszcze nie udzieliło. Zdaje się, że orientaliści nasi będą długo czekać.

„Odbudowa“ Rosji. W artykule wstępnym „Tygodnika Polskiego“ (Warszawa, Nr. 14, z dnia 13 czerwca) p. Leon Kozłowski pisze:

„Rewolucja dzisiejsza, w ostatecznych wynikach swych społecznych podobna do wielkiej rewolucji francuskiej, gdyż powołuje do życia w Rosji burżuazję wiejską, rewolucja ta dziś dopiero siwarza naród rosyjski we współczesnem znaczeniu tego słowa, tak, jak Wielka Rewolucja stworzyła naród francuski. Nie rozumieją tego emigranci rosyjscy, którzy wciąż przed oczyma mają nie naród rosyjski i przyszłe narodowe państwo, ale dawne imperjum wszechrosyjskie, które chcieliby tylko przekształcić, zastąpiwszy carat przez konstytuante wszechrosyjską.. Odrodzenie Rosji, to przede wszystkim uwolnienie jej od przytłaczającego ciężaru Wszechrosji. Jedyny koń włościński, jaki pozostał, potrzebny jest dla pracy w polu, a nie dla wozienia skarbów zrabowanych. W pracy tej nad odbudową kraju naród rosyjski potrzebuje się skupić w sobie i wyzbyć się Kresów Zachodnich, z którymi walka pochłaniała jego siły, odgrodzić się od wieży wschodniej, która wlewając się w życie rosyjskie, obniżała jego poziom duchowy, moralny, kulturalny.

A że nie można potargać węzłów ekonomicznych, które od wieków się nawiązały, więc odbudowa Rosji wymaga federacji jej z temi ludami i krajami byłego Imperjum, które dobrowolnie do ej federacji zechcą należeć. Wychodząc z tej zasady, nie można z góry już teraz nakreślić, w jakich granicach ma być ta federacja. Można tylko robić te lub inne przewidywania, które winna brać w rachubę polityka polska, zajmując to lub inne stanowisko wobec Rosji“.

Zali te przewidywania autora p. L. K. nie idą po linii federacji Rosji z Polską, by w pracy nad odbudową Rosji naród rosyjski „skupił się“ w sobie...?



Różności.

Duch czasu wpłynął i na władze czaszelne kościoła anglikańskiego, które zgodziły się na usunięcie z formuły przysięgi ślubnej dla kobiet słów: „i posłuszeństwo małżeńskie“. A u nas kiedyż nastąpią ułatwienia rozwodowe? Czas przecie, abyśmy życie sobie ułożyli wedle praw i zwyczajów europejskich.

Inteligencja francuska łączy się z walczącym proletariatem. Dnia 25 maja odbył się w Paryżu zjazd związku zawodowego urzędników państwowych, który uchwalił 193 głosami przeciw 30 przyłączenie się związku urzędników do rozwiązanej przez rząd Konfederacji Pracy. (Centrala Związków Zawodowych). Znamienna to oznaka ducha czasu, którą się i u nas zauważyć daje, bo tworzy się wreszcie, po wielu trudach, związek zawodowy urzędników państwowych.

Sprawozdania.

Dr. Feliks Młynarski. „Zasady filozofii społecznej“. Warszawa, 1919. Nakładem Kasy Przejrzomości i Pomocy Warszawskich Pomocników Księgarskich.

Habent sua fata libelli... To stare zdanie Terentiusa Maurusa należy uzupełnić: polskie książki naukowe przeważnie historii nie mają, przemilczane bowiem przez obojętnych, mało czujnych krytyków, nieczytywane przez niezainteresowany ogół, starzeją się na półkach księgarskich, lub idą na makulaturę.

Smutny los polskiego dzieła naukowego nie powinien stanowczo spotkać wydanych w r. 1919 „Zasad Filozofii Społecznej“, dr. Feliksa Młynarskiego. Niesłychany polot myśli, nieubłaganej w burzeniu, śmiałej w stwarzaniu nowych horyzontów, precyzja drogi myślowej i doniosłości rezultatów, czyni z książki tej jedną z najbardziej oryginalnych prac naszej literatury filozoficznej. Zakresem swych zagadnień, przekraczając znacznie granice, zakreślone tytułem, staje się ona próbą nowego światopoglądu na podstawie społecznej.

Wyprowadzić świat z doświadczenia społecznego — na podjęcie takiego zadania, w którym tętni przecież duch obecnej chwili dziejowej, trzeba zdobyć się na przeciwstawienie całemu prawie dorobkowi myśli epistemologicznej. Kant zdruzgotał światopogląd filozofii greckiej z jej naiwnym realizmem i metafizyczną poezją myślową. Wielki myśliciel królewiecki odzyskał dla człowieka godność twórcy: umysł ludzki „konstruuje“ wszelką empiryczną rzeczywistość czy to psychiczną, czy fizyczną i dyktuje jej swe

prawa. Ale zwycięstwo to zdobyte było za cenę podwójnej ofiary. Po pierwsze w niezrozumiałych dla rozumu praktycznego, rzec można metafizycznych zdolnościach a priori wprowadził Kant w budowlę swego świata pierwiastek irracjonalny; po drugie przyjmując jako podłoże rzeczywistości niepoznawalną rzecz samą w sobie („Ding an sich“) wyrzekł się, a wraz z nim późniejsza filozofja, metafizyki.

Dzieło Młynarskiego, który z Kantyzmu przyjmuje jedynie pozycję świata, jako wytworu człowieka, odrzucając aprioryzm i nierezygnując z tęsknot metafizycznych, poświęcone jest obronie tezy: **Rzeczywistość wytwarza człowiek jedynie jako istota społeczna i w życiu społecznem.** Prawa, jakie jej narzuca, są prawami, umożliwiającemi mu działalność praktyczną.

Droga, na której Młynarski doszedł do tych sformułowań, jest sama przez się mową i ciekawą. Porzuca on teren przyrody martwej i pojęć przyrodniczych. Ufny w rozwój wiedzy socjologicznej, którą Comte już postawił na szczycie systemu nauk, autor posługuje się świadomością i celowo życiem społecznem, by rozjaśnić zagadnienia bytu.

Podstawową koncepcją filozofji Młynarskiego jest „sąd ejekcji.“ Od niego, jako od faktu zasadniczego rozpoczyna się historia człowieka, umożliwia on bowiem porozumiewanie. Sąd ejekcji orzeka, że drugi człowiek, co do którego mamy wyłącznie zmysłowe dane, jest istotą żywą i doznaje jak ja, czyli przyjmuje w ludziach niedostrzegalny duchowy pierwiastek. Ludzkość posługuje się sądem ejekcji który dzięki swej pierwotności i częstoci, przeszedł w małą nietylko w obrębie życia społecznego, lecz również w stosunku do zwierząt i natury martwej. Do określenia życia społecznego musimy doszukać się jego „różnicy właściwej“. W głębokim wywodzie o socjologii mowy, z którego teoria pojęć mogłaby zaczerpnąć cenne wskazówki, wykazuje Młynarski, że różnicą właściwą między życiem społecznem a dostępnem również dla zwierząt doświadczeniem społecznem jest członkowana mowa, i definiuje ostatecznie życie społeczne, jako „ciągłość historyczną wzajemnego obcowania ludzi na zasadzie sądu ejekcji i przy pomocy członkowanej mowy“.

Rozporządzając tym zasobem pojęć, przystępujemy do ataku: sąd ejekcji staje się taranem, rozbijającym aprioryczne kategorie przestrzeni i czasu. Młynarski odróżnia „roziągłość przestrzenną“ od „zewnętrzności tej roziągłości“. Podczas gdy pierwsza jest treścią zmysłową w postrzeżeniu, druga jest pochodną wartością logiczną na podstawie sądu ejekcji. O roziągłości przestrzennej drzewa wiem przez własne doświadczenie zmysłowe, ale o przedmiotowości tego drzewa wiem dopiero w chwili, gdy wraz z drugą osobą patrzę na nie. Wówczas roziągłość przestrzenną drzewa uważam za treść cudzego doświadczenia zmysłowego: przedmiotowość rodzi się, gdy doświadczenie własne krzyżuje w sądzie ejekcji z doświadczeniem cudzym. Zewnętrzność przedmiotu nie jest zatem innem, jak u społecznieniem jego roziągłości przestrzennej. Innemi słowy: przestrzeń fizyczna wywodzi się z doświadczenia społecznego.

Mutatis mutandis zadaje Młynarski cios i kategorii czasu: Ponieważ

zjawiska nieobecne dla mnie zmysłowo muszą trwać, by mogły się pojawić dla innych czas konkretny, prywatny, jakby powiedział Russel, uspołecznia się i staje się trwaniem oderwanem od aktualności zmysłowej.

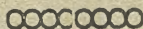
Nie wolno nam się teraz zawahać przed wysnuciem ostatecznej konsekwencji. Jeśli życie społeczne jest warunkiem powstania czasu i przestrzeni, czyż tem samem nie musi poprzedzać ono i powstanie ziemi, krążącej w teje przestrzeni i w tymże czasie? A jeśli tak, czem jest ziemia? Bez życia społecznego gaśnie wszechświat, traci logiczne warunki powstania i rozwoju. Ziemia jest tylko pojęciem, które przechodząc przez pamięć wyrazu świata, tak uformowanego, by umożliwiał nam działalność naszą, nie jest ani przyrodą, ani duchem, lecz gigantyczną, nieuporządkowaną pełnią, mowy zpokolenia na pokolenia doskonali swą treść, by ułatwić człowiekowi jego praktyczną działalność. Czyż więc sąd ejekcji powstał w próżni? Nie! Podłożem jego jest istność macierzysta, która w przeciwieństwie do naszego świata, tak uformowanego, by umożliwić nam działalność naszą, nie jest ani przyrodą, ani duchem, lecz gigantyczną nieuporządkowaną pełnią chaosem... Kiedy wpatrzymy się w ciągle zmienne pasmo naszych przeżyć, ujrzymy w tym przebiegu, w którym nie ma ani rzeczy samej w sobie, ani ducha, ani materji, ową prostotę rzeczywistego życia i zrozumimy, że ono właśnie urzeczywistnia dany nam rąbek chaosu.

I wreszcie na drodze „sądu ejekcji”, przerzucającego własne nasze życie, w życie bliźniego, odpoznanego w chaosie, dątarliśmy do metafizyki, którą nazwałbym metafizyką społeczną. Przemysłmy ją do końca, a z zawrotnych jej wyżyn spłynie nowe światło w ciemnie naszego życia praktycznego. Etyka, której nie wolno być metafizyczną, gdyż rzeczą jej jest określać udział człowieka w obowiązkach społecznych, przykaże nam cześć bliźniego jak siebie samego, bo stał się on na równi z nami ośrodkiem życia. Braterstwo zaś nie da się pogodzić z więzami, więc obowiązek dalszy, obowiązek wolności i przykazanie miłości tworzyć winny najwyższe sprawdziany moralności ludzkiej.

Młynarski uspołecznia.. logikę, która dziś nabrała wejrzenia prawie że mathematicae studium occultum. Zasadą tożsamości, o ile nie ma być czczą tautologią, jest jeno zasadą zrozumiałości społecznej. Zasady sprzeczności, wyłączonego środka i przyczynowości, odslaniają swe społeczne oblicze; nietylko więc treść, ale i formy poznania wywodzą się z doświadczenia społecznego.

Tak wygląda inwentarz najcenniejszych myśli tej książki, która przynosi istotnie próbę nowego uporządkowania wiedzy i nowego światopoglądu.

Seweryn Horszowski.



Nadesłane do redakcji.

Książki:

Józef Kallenbach. „Triumf Filomatów“. Nakł. Gebethnera i Wolffa.
str. 34

Marion. „Nad Tybrem i Sekwaną“. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 1920 r.
O powieści tej można powiedzieć za „Skamandrem“ (zesz. IIII-ci):

Parszywe i głupie powieści,
Życie mi psują i trują,
Wszędzie się wkręca, wśrubują
I męczą, wiele się zmieści.

Pisma:

Prąd, miesięcznik społeczny i literacko-naukowy, pod kierunkiem
Władysł. Lewandowicza. Nr. 1 i Nr. 2.

Pismo grupy młodzieży katolickiej, zbliżonej ideowo na gruncie religijnym do stowarzyszenia francuskiego „Le Sillon“.

Kronika Dentystyczna Nr. 1—3.

Wiedza Techniczna Nr. 4 za kwiecień.

Rękodzielnik Polski. Organ Centralnego Związku Rzemieślników Polskich. Nr. 3. Kraków.

Ofiary na plebiscyt

przyjmuje codziennie Komitet Obrony Śląska. Od godz. 11 r.
do 2 pp. i od 5 do 7 wiecz., ulica Marszałkowska 74.

„TRYBUNA“ jest najtańszym pismem polskim.

TREŚĆ Nr. 24: Walka o pokój. — Walka o programy spółdzielcze I (Sirius). — Listy z Anglii (C.) — Organizacja pomocy lekarskiej II (Napoleon Czarnocki). — Warszawa a prowincja (S. K.) — W zwierciadle. — Hej, pod pełnego wiatru powiewy (Wacław Wolski). — Straszliwi Solomonończycy (nowela Jack London'a). — Ze sztuki (W. Trojanowski). — Kronika polityczna: Emisarjusz Targowicy; Niemieccy komuniści i Rosyjscy bolszewicy. — Przegląd prasy. — Różności. — Sprawozdania. — Nadesłane.

Administracja otwarta codziennie od g. 10—3 popoł. Redakcja od g. 3—4 pp.

Wydawca: Spółka wydawn. „Trybuna“.

Redaktor odp.: **Wład. Wolert**

Odbito w drukarni „ROBOTNIKA“, Warecka 7.